

## WSZYSTKIE BARWY ŚWIĘTA NIEPODLEGŁOŚCI

Pamiętam dość dobrze pewną listopadową dyskusję w telewizji reżimowej, tym razem mam na myśli TVP w drugiej fazie stanu "późno-wojennego" ok. roku 1985. Widać było wtedy, że koła rządzące w chylącej się ku upadkowi komunie szukały gorączkowo jakichś haczyków, na które można było złowić świadomość niektórych rodaków. Może dlatego, że materialnych zachęt (widocznych na rynku) było raczej mało. Widoczne ocieplenie stosunków z Kościołem Katolickim oraz zdjęcie zapisu cenzury na szereg przejawów kultury - zarówno wysokiej, jak też masowej - miały wieść do dalszej liberalizacji, niestety pod parasolem tej samej skompromitowanej mono-partii. Pod koniec roku 1984 odblokowano temat polskich świąt narodowych ze szczególnym uwzględnieniem 11 listopada. Przed kamerami grupka dobrze widzianych przez władzę historyków zastanawiała się czy ponowne nadanie tej dacie szczególnego znaczenia ma sens dla Polaków z końca XX wieku. Jeden z zaproszonych utytułowanych naukowców postawił nawet śmiałą tezę, że w roku 1918 więcej się działo ważnych rzeczy na polskich ziemiach 10, a nie 11 listopada. Zatem kto wie, czy (zdaniem tamtego historyka) data 10 listopada nie powinna zająć należnego jej miejsca w panteonie narodowej pamięci? Pytanie to zawisło w próżni.

Nie minęło pięć lat, a wszystko uległo radykalnej odmianie. Około roku 1990 część owych luminary zaczęła głosić teorię "czarnej dziury" i bynajmniej nie chodziło im o teorię powstania wszechświata. Wg. wielu ówczesnych politologów i historyków, Polska po roku 1989 powinna być po prostu dalszym ciągiem II Rzeczypospolitej w stanie takim, w jakim zaskoczył ją 50 lat wcześniej najazd dwóch totalitarnych sąsiadów. Cokolwiek się działo przez pół wieku pomiędzy wybuchem II Wojny Światowej, a 4 VII 1989 jakby przestało się liczyć. To właśnie była ta polska "czarna dziura". To myślenie przypieczętował przyjazd do Warszawy emigracyjnego prezydenta Kaczorowskiego z Londynu i jego obecność na zaprzysiężeniu Lecha Wałęsy.

Wracając do kwestii świąt państwowych, faktem jest, że 11 listopada dostał się na polskie kalendarze jako dzień z czerwoną kartką, dość późno, bo w roku 1937 tj. 2 lata przed wojną. Po wojnie nowa narzucona władza mogła je ścierpieć tylko raz. W latach trzydziestych to święto w dużym stopniu miało być wymierzone w endecję, przypominając jaka to postać historyczna pojawiła się tamtego pamiętnego dnia roku 1918 na peronie Dworca Kolei Warszawsko- Wiedeńskiej. Po II Wojnie Światowej i straszliwym chaosie zmian ustrojowych i przesiedleń, wszelkie symbole zakazane przez narzuconą ze wschodu władzę, jakby nabrały specyficznej wartości. Tak też stało się ze świątami narodowymi. Jak tylko było można, pojawiły się one z powrotem, niejako automatycznie, po roku 1989. Już w późnych latach siedemdziesiątych XX w. niektóre organizacje należące do opozycji antykomunistycznej, jak KOR oraz Ruch Młodej Polski zdecydowały się wznowić tradycję obchodzenia święta 11 listopada jako Dnia Niepodległości. Jak wspomina jeden z uczestników nielegalnych obchodów z 1980 roku, faktem jest, że połowę demonstrantów stanowiła przysłana służbowo bezpieka. A jednak z biegiem lat liczba uczestników marszu nie malała. Pamiętam łunę światła ze zniczy wokół Kościoła św. Stanisława Kostki na Żoliborzu w Dniu Niepodległości w roku 1984, zaledwie dwa tygodnie po pochowaniu tam bł. ks. Jerzego Popiełuszki.

Chciałoby się porozmawiać z wieloma rodakami na temat emocjonalnej otoczki listopadowego święta. Jest ona dziełem ostatnich 6 - 7 lat. Pamiętam jeszcze senną atmosferę deszczowego popołudnia 11 listopada z okolic 2003-2004 roku na ogromnym, w dwóch trzecich pustym Placu Piłsudskiego. Długie szeregi czterech formacji Wojska

Polskiego, kilkudziesięciu oficjeli i może 150 osób obserwujących ceremonię z bliska. Dla jednych mogli to być uczestnicy uroczystości, a dla innych za ledwie gapie. Od pewnego czasu warszawski Marsz Niepodległości zastąpił dawne, przynajmniej cokolwiek rachityczne, obchody spowite w jesiennej mgle. Odkąd inicjatywę organizacji Marszu Niepodległości przejęły środowiska narodowe, inny duch powiał z tych imprez. Energia, młodość, patriotyzm - to się czuje w ich marszach. Niestety - nie tylko to. Aktualnie Polska przeżywa (tak, tak) najlepszy okres swojej długiej historii. Przynajmniej to wielu obserwatorów. Jak w niedawnym przemówieniu powiedział sam prezes Kaczyński - komunizm już się skończył - proszę te słowa wziąć sobie do serca. Zatem po co są te zaciśnięte pięści na Marszach Niepodległości? Nie jest do końca jasne, jakiej "lepszej" Polski chcą demonstranci z Mostu Poniatowskiego (i ich koledzy z innych miast). A może sami dobrze nie wiedzą. Jeśliby ktoś chciał zarzucić władzom Warszawy, czy lokalnym organizacjom pozarządowym, że nie umieją wyważyć proporcji emocjonalnych takich imprez, to zdecydowanie - wg. mnie - nie jest to prawda. Przecież już kilkakrotnie stolica Polski organizowała imponującą wieczorną imprezę święta 1 sierpnia w kolejne rocznice Powstania Warszawskiego. Bynajmniej nie w posępnym nastroju. Rozdawane były śpiewniki. Zgromadzeni brali czynny udział w koncercie. Jakoś nie były im potrzebne do tego ciągłe eksplozje rac i prowokujące bannery czy transparenty. A jak będzie jutro? Zdaniem wielu z nas, przeżywanie Dnia Niepodległości trochę bardziej na wesoło nic by nikomu nie zaszkodziło. Do organizatorów jutrzejszego Marszu można by się zwrócić słowami Stanisława Wyspiańskiego. "Wiele by mogli mieć - tylko oni nie chcą chcieć." Może tym razem zechcemy spojrzeć na świat i Polskę innym - pogodnym okiem.